

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



**№ 124.**

*Prenumerata w Warszawie:*  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

**Warszawa, 8 lutego 1862 r.**

*Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie*  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

**TOM V.**

**TREŚĆ NUMERU.**

Józef Jędrzej Załuski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Dawne ubiory i uzbrojenia (pięć drzeworytów) ciąg dalszy. — Kościół i klasztor ks. cystersów w Bledzewie, dziś już nie istniejące (z dwoma drzeworytami). — Widziadło szczęścia, powieść społeczna, przez Felicyana. — Rozmaitości. — Korrespondencya od redakcyi. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Klasztor w Poczajowie (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

**Józef Jędrzej Załuski,**

BISKUP KIJOWSKI.

*Do redakcyi.*

Żeby niewiadomo jak być treściwym, trudno opowiadać o żywocie Załuskiego jednym krótkim artykułem ograniczyć. Uczona znakomitość swojego czasu, wzór pasterza dycezyi, człowiek który w historii panowania Stanisława Augusta na pierwszym stoi planie, założyciel głośniejszej w świecie biblioteki Załuskich w Warszawie, mąż taką sławą i nieszczęściami znakomity, Załuski ze wszech względów zasługuje na to, żeby w obszernych ramach spisać jego tak zajmujący, tak różnostronny żywot. Dawno już o tém myślałem. Z tego co już mam materiału, na tom cały wystarczy. Zamiast więc streszczenia, które zawsze musi być niedokładne, posyłam redakcyi wykończone już rysy obrazu; będą więc dla Tygodnika stosowne, a dadzą wyobrażenie jeżeli nie o całym zawodzie człowieka, to przynajmniej o pewnych jego stronach.

*Julian Bartoszewicz.*

**I.**

*Dziecinne lata Załuskiego.*

Z ojca Aleksandra, wojewody rawskiego, z matki Teresy Potkańskiej starościanki inowłockiej, urodził się Józef Jędrzej Załuski 12 sierpnia 1701 r. (Data z kalendarzyka społecznego, kiedy Załuski był już biskupem. Ks. Łętowski w katalogu biskupów, tom IV str. 278, tę samą datę podaje dnia i miesiąca, ale rok pisze 1702).

Powiadają zwykle o ludziach uczonych, że mają szczególne dzieciństwo, bogate i pełne życia pod względem umysłowym. Bardzo łatwo budować takie wnioski, kiedy się ma przed oczami cały dawno przebyty zawód znakomitego człowieka. Ale co do Załuskiego, tu nie potrzeba bynajmniej budować wniosków; dosyć spojrzeć na wypadki dzieciennego życia, na zamięszenie tego młodocianego umysłu, żeby się przekonać, że w istocie Załuski był szczególniejszym dzieckiem, cudownym, zadziwiającym. Czasami ma to do siebie

wychowanie, że dzieci przejmują w niem zalety i wady ukochanych osób na które patrzyły. Tutaj niezawodnie było coś takiego. Jeden stryj, kanclerz i biskup warmiński, był mężem europejskiej sławy i nauki, drugi, Ludwik biskup płocki, był również niepospolitym człowiekiem. Obadwaj stryjowie bogatsi, niezależniejsi, przychodzili w pomoc rodzicom przy wychowaniu dzieci. Pięrwoszeństwo przed bratem wziął kanclerz i skupił naokoło siebie w Warmii całe drobne pokolenie rodziny Załuskich. Aleksander woje-

raz jechać do Warszawy, kiedy zaraza srodze się po Warmii srożyła. Król August wracał po klęsce półtawskiej do Polski i naokoło siebie szlachtę gromadził w Toruniu; potem i radę konfederacyi sandomierskiej zwoływał do Warszawy. Chciał się z królem kanclerz pogodzić, pragnął też brata uściskać za jednym zachodem w Warszawie. Tymczasem przewozić kazał dzieci z miejsca na miejsce, a wreszcie zatrzymał je w Reszlu. Gdy zaraza powtórnie się tam pokazała, kanclerz już na wyjeździe kazał wojewo-

dziców rawskich przewieźć do Gutsztadu, gdzie była kollegiata, wojewodzianki zaś postanowił umieścić w Eldycie (Elditt), u pani Hattińskiej, to jest zdale się Chateńskiej. Kanclerz miał jechać przez Gutsztad i Olsztynek. „Może, pisał do brata wojewody d. 24 stycznia 1710 r., wezmę z sobą do Warszawy syna twojego Marcina; nie będzie próżnował, bo który z moich kapelanów będzie go uczył w tej przejażdżce (supplebit pro inspectore, Epistolae historico-familiares, tom III, str. 899—900).

Pojechał więc do Warszawy i wrócił uradowany, bo wszystko mu dobrze poszło. Ale odtąd coraz mocniej zaczął się skarżyć na zdrowie.

— Teraz szczęśliw umrę, powiadał do swoich, bo pokazała się niewinność moja i przywrócono mnie do urzędu; ale śmierć na mnie czeka, muszę być gotów.

Biskup tutaj napomykał o swoim więzieniu, które cierpiał przed kilku laty w Ankonie, z powodu króla Augusta. Ostre król na niego listy do Rzymu napisał, i skarżył na wiatr za to, że znosił się ze Szwedami, z Leszczyńskim, w чём słowa prawdy nie było. W Toruniu król pokazał mu najprzód twarz surową, ale się przeprosił i pieczęć mu oddał, a w Warszawie jak starego znajomego witał.

Który mianowicie z synowców wychowywał się przy kanclerzu w Warmii, o tém szczegółowych nie mamy wiadomości. Z wojewodzieców rawskich pewnie wszyscy trzej znajdowali się przy stryju, takby przynajmniej wnosić wypadało z kilku drobnej wagi napomknien. Stanisław od dziewiętego roku życia już był przy stryju (1704), o Marcinie sam

kanclerz pisze w liście do brata, a Józefa chwalił przed wojewodą czerniechowskim, który go czasem nawidział w Warmii; o jednym Jakubie żadnej nigdzie nie znajdujemy wzmianki. Trudniej byłoby zliczyć dziewczęta, ale kiedy kanclerz wychowywał, jak widzimy, wszyst-



JÓZEF JĘDRZEJ ZAŁUSKI. (Rysował Lewicki, ze sztychu J. F. Myliusza).

woda rawski i Franciszek wojewoda czerniechowski oddali kanclerzowi swoje dzieci, nietylko synów, ale i córki. Starzec cieszył się tym drobiazgiem, który trzymał i wychowywał przy sobie w zamku heilsbergskim, z całą troskliwością serdeczną. Wypadło mu

kich synów wojewody rawskiego, można wniesić, że były u niego także wszystkie trzy wojewodzianki, siostry tych braci, to jest Wiktorya, Ludwika i Aleksandra, dla których trzymał ochmistrzynię.

Wojewodzie czarniechowskiemu za to nie wiodły się dzieci: jednego tylko syna Bóg mu zachował przy życiu. Wojewodzie nowy kierunek edukacji samemu napół cudzoziemskiem pochodzeniem swojemu zwiastował Polsce; rodził się bowiem z Francuzki, Doroty hrabianki d'Arshot de la Riviere, feudalnej dziedziczki rozległych włości we Flandryi czy Brabaneyi. Kiedy dom wojewody rawskiego był szczeropolski, dom wojewody czarniechowskiego już z cudzoziemska wyglądał i szedł u nas w pierwszą straż przed cywilizacją francuską, przed oglądą XVIII wieku.

Bądź jak bądź, całe to młode pokolenie Załuskich, z pod ojczywego nieba na ziemię wpół niemiecką przeniesione, zrządzeniem losów wychowywało się w podaniach katolickich, wśród żarliwego nawet ascetyzmu. Mogło być tego pokolenia na dziewięć, najwięcej dziesięć osób. Wszystko w tym małym klasztorze było święte i pobożne, prawie powiedzielibyśmy natchnione, bo dzieci wzrastały w towarzystwie, pod dozorem księży, i pod kierunkiem samego biskupa, słyszały tylko ze świata odgłosy dzwonów kościelnych i pieśni uroczyste. Duch dzieci tak się dziwnie nastroił ku pobożności, że wojewodzice rawscy marzyli o kapłaństwie, a wojewodzianki tylko o zakonnych welonach. I rzeczywiście z tego młodego pokolenia wyszło później trzech biskupów i jedna zakonnica. Pierwszy, najstarszy z dzieci, Jędrzej Stanisław, gwałtem napierał się kapłańskich święceń. „Język świadczył, pisał o tém kanclerz do brata wojewody rawskiego, czego chciało serce.“ Dosyć że w sam dzień imienia dziecka, na św. Jędrzeja, pierwszą mu stryj udzielił tonsurę (29 listopada 1708 r.). „Spodziewam się, pisał dalej, że Bóg nie pozbawi swojej opieki tych, którzy chodzą w niewinności, będziemy mieli z nich pociechę; wszakże nietylko z kości słoniowej wyrabiał Fidiasz dzieła swoje.“ Wojewoda rawski rad był serdecznie tej gorącej pobożności syna, bo z powodu tych pierwszych święceń pisał do niego kanclerz: „Dla twojej pociechy donoszę ci o tém.“ (Epistolae, tom III, str. 837). Tak w trzynastym roku życia wyświęciwszy się młody Załuski, brał zaraz i chleb duchowny. Stryj, biskup płocki, mianował go dziekanem pultuskim, a Kazmirz Łubiński biskup dał mu później kanonię krakowską.

Tymczasem, kiedy najstarszy wojewodzic rawski, Jędrzej Stanisław, pobożnością rozweselał serce kanclerza, najmłodszy, Józef, wiele mu sprawiał pociechy w tych kilku dniach ostatnich życia, jakie miał jeszcze kanclerz przeżyć na ziemi. W tém znowu dziecku była miłość do nauki taka, jaka bywa w dojrziałym tyłu człowieku. Za lada książkę porывał z namiętnością. Wszystko chciał odrazu przeczytać, pojąć i pamiętać. Nauczycielom nie dawał spokoju. Uczył się języków i historii, przepadał za wiérzszami. Przewidział zacy kanclerz biskup warmiński, co z takiego synowca być może, i dlatego kiedy umierał, prosił brata wojewody czarniechowskiego: „Servate mihi octennem puerum meum Joseph.“ (Pamiętajcież o moim ośmioletnim Józefu).

Dziesięciu lat nie miał nawet Józef, kiedy stryj umierał, powróciwszy z Warszawy, gdzie widział się z bratem. Ostatni w życiu swojemu post wielki przepędzał w umartwieniach, schorowany, w Gutsztadzie. Po świętach wielkanocnych wyjechał do Brunsbergi, gdzie wyświęcił kilku księży, potem zajął do Frauenburga i do Królewca, dokąd czasu wojny wynieść kazał prawie cały swój majątek. Układał testament i pobożnie robił zapisy przez rok cały; mówił żeby po śmierci nie sprawiano mu wspaniałego pogrzebu, nie chciał nawet nagrobka, ale prosił o prosty napis na kamieniu:

„Hic jacet Andreas episcopus. ConCVLCate peCCatoreM ZaLVskI, aC pro eo orate.“ (Tu leży biskup Andrzej. Depczcie nogą grzesznika Załuskiego i módlcie się za nim).

W napisie tym był sposobem akrostychu i rok śmierci przepowiedziany. (MCCCCCLLVII — to jest 1714). Biskup ani o jednostkę się nawet nie pomylił.

W Królewcu mocniej zachorował i ledwie powrócił w kwietniu roku 1714 do Gutsztadu, położył się zdjęty boleścią. Posłał zaraz po doktora Francuza Saint Blancarda, którego rad nieraz używał. Dnia 27 kwietnia przyjechał doktor z Królewca i srode się przelał zobaczyć stan rzeczy; 29 przyjechał ksiądz Adam Rostkowski, biskup filadelfijski, suffragan łucki, gość serdecznie pożądany i z tęsknotą oczekiwany. Wojewoda czarniechowski już dawniej odwiedził brata. Kanclerz zdaje się odżył na chwilę i powtórzył suffraganowi to, o czém bratu już rozprowadził: że za wolą królewską przysposobił sobie

na koadjutora księcia Sachsen-Zeit, prymasa węgierskiego, dla zachowania biskupstwa od upadku; dalej że chciał złożyć pieczęć i o to już króla prosił, żeby po Szembeku, który naturalnie zostałby w takim razie kanclerzem, pieczęć mniejszą oddał księdzu Rostkowskiemu. Sam wzięby wtenczas pensją z dochodów stołowych, zdawszy biskupstwo na koadjutora, i usunąłby się gdzie na ustronie, żeby ostatek życia poświęcić Bogu. Mówił że więzienie ankońskie dopiero pokazało mu całą marność życia i zabiegów ziemskich. Pragnął powrócić do Ankony.

Wtenczas to „malińkich wnuczków swoich, parvulos nepotes“ zalecał wojewodzie czarniechowskiemu. Ale przez noc choroba dziwnie się wzmożła, i dnia 4 maja przyjął w obec duchowieństwa i kanoników kollegiaty ostatnie sakramenta. Kazał do siebie prosić wojewodę i w jego ręce oddał testament trzema pieczęciami znaczony; do liczby dawniej wybranych dwóch wykonawców, trzeciego wojewodę dopisał i powierzył bratu cały majątek, którym nie rozporządził w testamentie i w kodycyllach. Wydawszy to ostatnie rozporządzenie, kazał do siebie zawołać czterech synowców wojewodziców rawskich i czarniechowskich, i dał im wszystkim błogosławieństwo na drogę życia, przy energicznym napomnieniu pasterkiem, ażeby Boga się bali i kochali rodziców. Następnie udał się do łózka, a ksiądz suffragan i jezuita Eustachy Reuscher, koleją czytali mu ustępy z dzieł pobożnych, czego pilnował jeden z wojewodziców czarniechowskich. Zbiegło się duchowieństwo, i wśród śpiewów i modlitw, zakończył spokojnie życie ksiądz biskup warmiński, dnia 11 maja 1714. (Epistolae hist. famil., t. 3, str. 907—908).

Świadkiem tej śmierci sprawiedliwego był zapewne Józef Załuski. Pierwsze te wrażenia, które wówczas odebrał, na całe życie mu pozostały. Synowiec wyrabiał się na wzór stryja przez pracę i pobożność.

Nauką, w latach dziecińczych, kto wie czy nie przewyższał nawet stryja. Miał i kanclerz biskup warmiński wielkie zamiłowanie do książek, do pracy; ale któż w tém wszystkim wyrównał młodemu wojewodzicowi rawskiemu? Załuski nie czytał, ale polykał prawie książki. Gromadził już wtenczas bibliotekę, bo przywiązywał się do książek, kupował je, od stryja i od znajomych dostawał stare i nowe druki. Nim doszedł lat piętnastu, już trzy tysiące dzieł przerzucił i podpisał swoją własną ręką; takim sposobem do lat dziecińczych Załuskiego odnieść potrzeba pierwszą myśl o bibliotece. Zapalając się coraz bardziej, przychodził oczywiście do zbiorów znakomitych, które urastały w ogrom, a kiedy później na świetniejszym był stanowisku w Rzeczypospolitej i miał większe środki, namiętniej też zbierał. Te trzy tysiące książek, które zebrał w dzieciństwie Załuski, pierwszym były zakładem biblioteki. Młody Załuski czytał najprzód po polsku i po łacinie, a kiedy się namiętność do książek rozwinęła w nim, skończył na tém, że czytał i pisał jedenastoma językami. Nauczyciele mu wystarczyć nie mogli. Dziecku tak gorąco potrzeba było coraz zdolniejszych, coraz uczęszających; dlatego zmieniali się rychło jeden po drugim, i tak przez kilka tylko lat za życia stryja kanclerza i po jego śmierci, siedmiu czy ośmiu nauczycieli domowych miał młody Załuski.

Po śmierci kanclerza, pomagał wojewodzie rawskiemu w wychowaniu dzieci drugi brat jego Ludwik, biskup płocki. Kiedy już było potrzeba ślać młodszych wojewodziców zagranicę, biskup dał na to fundusze. Pojechali razem Jędrzej Stanisław z Józefem; pierwszy miał lat 16 do 20, drugi ledwie 13 do 14.

Stanisław coraz się stawał poważniejszy, nietylko wiekiem, ale i urzędami. Jednocześnie z kanclerzem umarł w r. 1714 Marcin Załuski, biskup arzeński, brat jego, a stryj wojewodziców czarniechowskich i rawskich. Król August chciał ujmować sobie Załuskich i probostwo płockie, pierwszą prelaturę w kapitulę, oddał po biskupie Arby Stanisławowi. Prawda że za to nie dotrzymał innego słowa i pieczęci mniejszej koronnej nie dostał po Szembeku ks. Rostkowski; król oddał ją biskupowi przemysłskiemu Bokumowi, jako wynagrodzenie za wiele bolesnych zawodów i jako oznakę przyjaźni dla brata ulubionej, to jest księżny cieszyńskiej. Do probostwa płockiego przywiązane były obszerne prerogatywy, rządy prawie udzielne nad szlachtą w Sieluniu i księstwo. Załuski był tedy i kanonikiem krakowskim, i dziekanem w Pultusku, i proboszczem w Płocku, i księciem sieleńskim. Pojechał do Gdańska na matematykę, do sławnego Pawła Patra, a wtém stryj biskup płocki go zawołał, ażeby jechał świat przejrzyć w Niemczech, Holandyi i Włoszech.

Młodych Załuskich przyjmowano wszędzie ze czcią, bo mieli listy i stosunki, a znajdowali wszędzie znajomych i przyjaciół stryja swojego, kanclerza. Byli

w Wiedniu u cesarza Karola i mieli u niego tajne posłuchanie, potem w Monachium u Maksymiliana Emanuela elektora bawarskiego. Żył jeszcze wtenczas Teresa Kunegunda Sobieska, królowna polska, żona tego elektora, którą odwiedzili; córka Jana III coraz więcej odzwyczajala się od mowy polskiej. Widzieli także palatyna Renu, księcia neuburgskiego, którego dom tak często wiazał się w stosunki rodzinne z domami polskimi, a nawet i królewskim potomstwem; niedawno jeszcze dom neuburski spokrewniał się z rodziną Sobieskich, z Radziwiłłami i z Lubomirskimi. Zwidzili potem Załuscy Paryż, za panowania wprawdzie Ludwika XV, ale za rządów księcia orleańskiego regenta.

W Paryżu znajdował się podówczas w gościnie car Piotr Aleksiejewicz. Dzięki wstawieniu się kardynała Polignaca, który był posłem w Polsce za Jana III i za ostatniego bezkrólewia, a zył poufale ze zmarłym kanclerzem, znaleźli podróżni wstęp do dworu. Potem zawadzili o Rzym, w którym panował Klemens XI, z domu Albanich. Tutaj przyjęcie serdeczniejsze było, bo wspomnienia o Załuskich i o Polsce znajdowali świeże co chwila, to w gronie kardynałów, to u samego papieża. Obadwaj bracia z zapalem oddali się naukom. Stanisław często chodził do biblioteki watykańskiej i do akademii w Sapienzy; napisał nawet rozprawę łacińską na stopień doktora o godności i władzy papieża i bronił jej publicznie, przy oklaskach kardynałów. Stopień żądany naturalnie otrzymał. Józef zaś u jezuitów w Rzymie „szkoły traktował.“ Podobało się mu zakonne życie, do którego nie pokazywał dotąd żadnego usposobienia. Lat 15—16 miał, kiedy zaczął się gorąco napierać do jezuitów. Jenerał Michał Anioł Tamburini, odmówił panięciu, z uwagi na wiek jego młody; żądał nareszcie zezwolenia ojca. Musieli Załuscy pisać o to do Polski, i nieraz, bo są ślady, że ojciec się wzbraniał pozwolić. Kiedy się Tamburini dowiedział o tém „stanowczo nie chciał przyjąć Załuskiego i wcale odmówił, z tym dodatkiem, że swego czasu, choć nie jezuita, daleko więcej mógłby być pożytecznym temuż zakonowi w łaskach i protekcji, której potrzebuje Societas.“ (Informacya o fundacyi biblioteki jw. imci księdza Józefa Jędrzeja Załuskiego, w Bibliotece warsz. 1848 T. II str. 563). Zrażony tém niepowodzeniem, młody wojewodzic uczynił wówczas w Rzymie „ślub zrobienia jakiejś fundacyi na korzyść tych dobrych ojców, jeśli kiedykolwiek będzie miał po temu sposobność.“ Otdąd niezmiennym prawidem w życiu jego było trzymać się tej świętej wyroczni: „vo-vete et reddite, obiecujcie i dotrzymujcie.“ (Bibl. Warsz. str. 373). Było to w r. 1718.

Z Rzymu udali się Załuscy do Neapolu. W tej stolicy znaleźli również wspomnienia i stosunki. Arcybiskupem był podówczas w Neapolu Franciszek de Campo Pignatelli, który znał Polskę, bo w początkach panowania Augusta II, za rozruchów szwedzkich, siedział w niej lat kilka nuncyuszem. Oczywiście kardynał dobrze znał kanclerza biskupa warmińskiego. Stosunki ich z początku były obojętne, zimne, a nawet poprostu nieprzyjazne; pisywali do siebie listy, w których na wieki dla historii został ślad niechęci i złe tajonego gniewu. Ależ to od tych czasów lata minęły, drażliwość ustała i kardynał wszedł z biskupem później w ścisłą przyjaźń; tém bardziej teraz się roztkliwiał, kiedy kanclerz umarł, a jemu w Neapolu przyszło spoglądać na młode pokolenie Załuskich. Pignatelli podróżnych polskich zalecił wicekrólowi neapolitańskiemu z najlepszej strony. Serdeczność poszła tak daleko, że obadwaj, i wicekról i kardynał, podejmowali Załuskich przez cały czas pobytu w Neapolu o własnym koszcie. Trafili bracia na samą uroczystość św. Januaryusza i oglądali cud z głową jego, który się co rok odnawiał w Neapolu.

Wracali Załuscy na Florencyę, gdzie wielki książe nietylko ich hojnie uraczył, ale jeszcze obdarował upominkami. Zwidzali następnie północne miasta Włoch, Sabaudyę, Turyn, Parmę, Modenę i Medyolan, wreszcie powrócili obadwaj do Polski.

(Dokończenie nastąpi).

## Kronika tygodniowa.

Z prawdziwą niechęcią dzisiaj biorę się do pióra. Z niechęcią? i dlaczego? spytaście mnie czytelnicy, przekonani, i słusznie poniekąd, że rozmowa z wami, powinna być dla sprawozdawcy waszego zadowoleniem, rozrywką, przyjemnością, tak jak wszelkie dopełnienie obowiązku, któremu się chce szczerze zadość uczynić, tak jak wszelka praca, którą się posyła w świat

z przekonaniem, że dla szczerzej chęci, ludzie niedostatkom wykonania wybaczą.

Oto dlatego, że w tej chwili ta praca, ten obowiązek, to peryodyczne kółko w którym kręcę się co tydzień, odrywa mnie od przyjemności jakiej już oddawna nie doznawałem.

Leży przedemną w tej chwili książka dużych rozmiarów i wielkiej objętości, jedna z takich, na jakie trwożliwi wydawcy nasi oddawna nie śmieli się zdobyć, a nie mówi ona ani o lasach, ani o gospodarstwie, ani o sztucznym nawozie, ani o rasach bydła z zagranicy sprowadzonego, ani o ważnych kwestiach ekonomii politycznej, ani o wolności handlu i systemie protekcyjnym, ani o fabrykach cukrowych, ani o procencie, ani o kapitale, słowem o żadnym z tych przedmiotów, które dziś stanowią najbardziej poszukiwaną literaturę.

Książka to belletrystycznej treści; wiersz w niej, o zgrozo! przeplata prozę, i nawet poniekąd większość stanowi, jeżeli nie co do objętości, to przynajmniej co do ilości artykułów. Prawie tam nie znajdzie prac naukowych, krytyk i rozpraw. Horrendum! wszystko prawie z serca, mało tam wyciągów z ksiąg zapyłonych, sprawozdań z prac eksperymentalnych, z teoryj przypuszczalnych i t. d.

Książka to zbiorowa i taki też nosi tytuł. Po ziarnku składały się na nią talenta i zdolności, żeby hołd zasłudze oddać. Jest to dzieło poświęcone Kazimierzowi Władysławowi Wójcickiemu i na jego korzyść wydane.

Zaledwie część tych artykułów miałem dotąd czas przejrzeć, i... nie zabijajcie mnie pogardą swoją czytelnicy ważnym oddający się kwestyom... były to prawie same tylko poezje. Nawet nie wszystkie przejrzałem, prozy zaledwie dotknąłem, ale rozciekawiony, zajęty, przykuty prawie do czytania i odczytywania tego co mi wpadło pod rękę, po setny raz już może powtarzałem sobie to... o czem niżej, kiedy wróg mój stary, kiedy nieublagany stróż moich czynności, co na moję biedę dnia i nocy nie dośpi... zegar o bronzowym czole i stalowym sercu, co nieczule na lzy i rokosze, na smutki i radości ludzkie we wnętrzu jego się obraca, wybił godzinę...

Ta godzina była zakazem, ta godzina była wezwaniem, ta godzina była przegródą.

Drukarnia czeka, prassajęczy... zmarnowałem (!!) już zbyt wiele czasu, trzeba się wziąć do pisania, i to wtenczas właśnie, kiedy myśli innych czynią wstyd moim słowom, kiedy to wszystko co z siebie dobędę, chociażby z pod piersi własnych, chociażby z samej głębi serca, będzie tak malém, tak przedzném, tak bezbarwném, względnie do tego co przed chwilą pieściło moje oczy, napawało umysł, rozradowywało serce.

A jednak, o czytelniku, który w tej chwili może dopiero co odwróciłeś oczy od polemiki o akcyach warszawsko-wiedeńskiej i warszawsko-bydgoskiej kolei żelaznej, albo od praktycznych artykułów o cenach węgla i o taksie na mięso, to com przez krótką chwilę przeczytał, nad czém przez całe godziny myślałem, że aż mi zegar bronzowym głosem musiał powinnosć moję przypomnieć, są to krótkie poezyjki, zaledwie po kartce, lub po kilka kartek druku obejmujące, które niejeden przejrzy, kiwnie głową, mówiąc że to brzmi dzwięcznie jakoś, ale wcale nie jest zajmujące, i rzuci w ką... do lepszych czasów, do myśli swobodniejszej, do chwili wolnej, która może nigdy nie nadejdzie.

Jedną z tych herezjy nowoczesnych popełniła Deotyma. Tytuł jej utworu: *Oda do czynu*. Jest to rzecz w stylu czysto starożytnym.

Ale mniejsza o styl, mniejsza o formę, która jest przesliczna. Treść, to wszystko, poezja, myśl, to cała wartość, a jakimi są te przymioty, sądźcie z tych wyjątków:

...Bez czynu światby leżał jak rola bez plonu,  
Myśl bez czynu podobna księdze jeszcze białej,  
Słowo nie brzmiące czynem, to kościół bez dzwonu,  
Miłość nie wsparta czynem, jest to łuk bez strzały.

...Czyn jest strasznym ciężarem, ciężar to jedyny,  
Co waży w szalach Boskich—i w dzień Jozafata,  
Gdy mogiły struchleją, w ów dzień, tylko czyny.  
Zostaną przywołane na świadectwo świata.  
Tylko jednak gdy staną przed stolicą Pana,  
Prawie z nas każdy dłonie załamię z rozpaczą.  
Może wówczas niejedni z śmiertelnych zapłaczą,  
Że taka moc jak czynu została im dana.  
Jeżeli raz przeklętą będzie myśl fałszywa,  
Przeklętém słowo fałszu, miłość fałszowana,  
To czyn fałszywy przekleństw siedemkroć przyzywa,  
Czyn fałszywy jest synem duszy i szatana.

Więc mówicie, więc piszecie, że poetów już niema, że święte kastalskie źródle wyczerpane już dla

nas! A któż to pisał, to coście przed chwilą czytali? Zaprawdę, poetów u nas nie zbrakło i nie zbraknie, bo święta ziemia nasza płodną jest w to ziarno brylantowe; ale zbrakło słuchaczy ich pieśni, zbrakło takich, którzyby je zrozumieć mogli.

A jeżeli wam tego niedość, czytajcie dalej książkę zbiorową, znajdziecie tam poemacik skromny w rozmiarach, niebardzo nawet pomyślny tytułem dla tych, którzy tylko terażniejszości przedewszystkiem szukają, bo miano tego poematu *Tyrteusz*—Tyrteusz wódz i poeta grecki. Utwór ten podpisany nazwiskiem Władysława Anczyca.

Przywykliśmy nazwisko to czytać na afiszach, ponad tytułami komedj ludowych, sztuczek wesolych, pełnych życia, ulubionych od publiczności, z których każda, pod skromną i przystępną formą, zawiera rozwinięcie jakiej dobrze obmyślanej prawdy społecznej. Znajdziecie to nazwisko pod utworami humorystycznymi, pod wesolami i dowcipnemi wierszami, w których przystępną i nęcącą formą, nieraz gorzką naukę obwinie. Przyzwyczajliście się, czytelnicy, widząc to nazwisko zalecające jaki utwór, mówić do siebie: „Trzeba czytać, to będzie zabawne, wesole, rozerwę się choć trochę przynajmniej.“

Otóż na wielkie wasze zdziwienie powiem wam, że *Tyrteusz* nie jest wcale ani zabawny, ani wesoly. Jest to utwór prawdziwego poety, poety lirycznego, umiejętnie piękną władającego formą. Tyrteusz, to kilka cenniejszych kart tego zbioru, na który literaci polscy złożyli się dla współtowarzysza swoich trudów i zawodów.

Nie przytaczamy nic, bo musielibyśmy wszystko prawie przytoczyć, a przynajmniej całą część drugą, od przybycia Tyrteusza do Sparty. Pytamy tylko:

Czemu ten, któremu Bóg zesłał taką siłę słowa, marnuje ten dar Boży na drobiazgi, na płochę igraszki umysłu, na grę zręczności i dowcipu?

Czemu?...  
Spytajcie siebie samych, spytajcie tego wszystkiego co nas otacza, spytajcie tylu ludzi zużywających się i zamierających nie na swoim miejscu, spytajcie tych wszystkich, którzy marnują się i giną w próżnej walce z życiem, nie wypowiedziawszy ani części nawet tego wszystkiego, co drży im w piersi.

Bóg, czasy, ludzi, nie wiem komo czynić za to odpowiedzialnym.

Może wszystkich razem.

A teraz zalecam wam jeszcze z téjże samej książki śliczną poezję pani Hniekiej, pod tytułem: „Dwie“; wyjątek z lirycznego obrazu Zmorskiego pod tytułem: *Święto majowe*, zkądinąd już znany, ale takie rzeczy i sto razy czytać nie zawadzi; Faleńskiego ciekawą historją o królu Henrykusie; Lenartowicza Bolesława Chrobrego; parę ślicznych wierszyków Bogdana Zaleskiego, i mnóstwo innych jeszcze pięknych rzeczy, których czas ani miejsce wyliczać mi po szczególne nie dozwolają.

Jeszcze jedno słowo. Przeczytajcie z téjże samej książki artykuł prozą pod tytułem: *Próba wykładu bajki Krasickiego Wilk i baran*, drobnemi literkami G. E. podpisany. Nauczycie się z tego artykułu, co to jest sztuka pisarska; ale oprócz tego inną, daleko ważniejszą zacerpnięcie z tamąd naukę, jak można w niewielu słowach, dużo, bardzo dużo treści, i to dobrej treści, zmieścić.

A teraz przejdźmy do innych spraw.

Piszą nam o wyborném powodzeniu szkółki wiejskiej, założonej nad Huczwią w Hrubieszowskim. Korrespondent nasz, przejeżdżając tamtędy w niedzielę, znalazł kościółek otwarty; wszedł więc i zastał dzieci wiejskie kłęczące przed ołtarzem. Mszę miał ksiądz St. L. bazylianin z Chelma, a dzieci z dziedzicem i nauczycielem składały chór. Korrespondent bardzo chwali zachowanie się tych dzieci. Do powodzenia szkółki, która staje się wzorem okolicy, miał się, oprócz dziedzica, niemało przyłożyć wspomniony wyżej kapłan, o którego zasługach korrespondent nasz z wielkimi mowami pochwałami. Przejeżdżając tamtędy w dniu powszednie, słyhać pastuszków śpiewających litanią do N. Panny, lub też zebraną gromadkę za węglem domu nucącą pieśń poranną.

Z Czerskiego donoszą nam, że obywatele tameczni zaciągnęli pomiędzy sobą piśmienne i pod słowem honoru zobowiązanie, że od św. Jana b. r. oddalą od siebie propinatorów, których postępowanie, zgubny wpływ na moralność naszego ludu wywierające, znać jest wszystkim.

Propinatorowie, płacąc stałą dzierżawę z karczem, starają się usilnie o to tylko, ażeby jaknajwięcej wódki przez gardła ludu naszego przepędzić. Jako fakt autentyczny, dowodzący dokładnie do jakiego stopnia posunięte jest w tym względzie pomiędzy nimi współ-

zawodnictwo, służyć mogą dwie wsie, Worów i Wola worowska, w Czerskiem położone.

Kilka lat temu, gdy okowita była jeszcze nieco od dzisiejszej tańsza, gdy nie zarabiano jak tylko na jej większym odbycie, propinatorowie pomienionych wsi, oddalonych od siebie zaledwie na paręset kroków, zaczęli się współubiegać pomiędzy sobą. Ponieważ niżej jak po 6 gr. półkwatka wódki podług rozporządzenia rządowego sprzedawać nie mogli, jeden z nich dodawać zaczął darmo pół bułki do każdego wypitego kieliszka. Sąsiad jego, dowiedziawszy się o tém i widząc pustki w swej szynkownej izbie, ogłasza iż obowiązuje się dać całą bułkę do kieliszka. Na tę wiadomość pierwszy postępuje kawalek mięsowa do bułki, za co ostatni ofiaruje szanownym gościom gratis do wódki całą bułkę i całego śledzia. Niewiadomo na czém skończyłaby się podobna licytacja *in plus*, gdyby na szczęście cena okowity nie podniosła się i nie przerwała tych sporów.

W miejsce zatem propinatorów, obywatele zobowiązali się, pod karą utraty opinii, trzymać li tylko własnych szynkarzy, podwyższając zarazem ceny wódki. Również poddaje się karze utraty opinii ten, który garncami z gorzelnii sprzedaje włościanom okowitę.

W początkach bieżącego miesiąca odbyło się tamże losowanie akcyj, ze spółki zawiązaną w roku zeszyłym w celu stawiania domów mieszkalnych, ku podniesieniu przemysłu i rękodzieł pod miastem Grójcem. Administratorem tej spółki jest znany ze swej czynności obywatel Augustyn Lewiński. Wielkich postępów na tej drodze jeszcze wymagać nie można, ale z upływem lat i przy zabiegliwém staraniu, należy spodziewać się znacznego wzrostu liczby zdających i tyle w gospodarstwie potrzebnych rzemieślników.

Tenże sam korrespondent donosi nam o szkołkach wiejskich w tamtych stronach, że te albo już są zakładane i wielkie przynoszą korzyści, albo są w trakcie otwarcia. Zdaje się że za rok albo dwa nie będzie już żadnej większej wsi, któraby swojej szkółki nie posiadała. Pomimo tego znajduje się pomiędzy tameczniami obywatelami kilku takich, co zakładanie szkółek za najszkodliwsze uważają, mówiąc że byłby to przewrót świata, gdyby cham tyle co pan umiał. Prawda... ale niektórzy z panów tak mało umiają, że cham niebardzo się zmęczy aby im dorównać.

We wsi Praźmowie, gdy w czasie ostatnich świąt Bożego narodzenia szkółka na cały tydzień zamknięta została, dzieci w liczbie 33 tak się zaczęły prosić, tak błagać właścicielkę żeby im szkółkę otworzyła, iż dla niesprzeciwiania się im dalsze lekcy nastąpić musiały.

Tutaj nasręcza się nam jedna uwaga.

Bardzo jest chwalebna rzeczą ze strony obywateli ziemskich nabywanie książek i dzieł ludowych, których teraz tak wiele wychodzi, i rozpowszechnianie ich pomiędzy ludem. Ale książki te i dzieła w żadnym razie nie powinny być rozdawane darmo. Niech włościanin płaci co bądź, choćby najmniejszą kwotę, pięć groszy, trzy grosze, grosz nareszcie, byle płacił; bo w przeciwnym razie uczy się on książek, które mu darmo przysły, nieszanować, a odwyka od ich kupowania, co jest równie szkodliwem. Niechaj posiadacz książki wie że ona coś kosztuje; koszt ten będzie w miarę jego możności, ale zawsze nauczy się na własne siły rachować, nie spuszczać się ciągle na innych. Tym sposobem nauka i korzystniejsza i miłsza, bo się coś dla niej poświęciło.

To samo co powiedzieliśmy o książkach, powtarzamy i o szkółkach, chociaż nie tak ogólnie. Tam gdzie nie można inaczej, trzeba na początek zwabić i darmo do szkoły; ale z postępowem czasu należy koniecznie zaprowadzić jakąś bardzo drobną opłatę. Nie dla zwrotu kosztów, bo o to nie idzie, i zresztą jakizby był ten zwrot kosztów, — ale z zasady, uczącej nas że daleko więcej w pożytek idzie rzecz dla dostąpienia której poświęciliśmy cokolwiek bądź z naszego, aniżeli ta co nam darmo przychodzi.

Ale niestety! w każdym, by najlepiej dobranym chórze, znajdują się zawsze jeden albo dwa głosy dorzucające fałszywe tony do ogólnej zgody. A i tę ujemną stronę trzeba jednak wytknąć, najprzód dla przykładu, powtóre żeby ci panowie, którzy tak pomiatają interesem ogółu, wiedzieli, że ich zdania i postępek, jakkolwiek w szupłym zakresie zamknięte, mogą jednak być wyprowadzone na światło dzienne.

Oto rozmowa, za której autentyczność nam zaręczono.

Pewien obywatel wiejski przyjechał w tych dniach do Warszawy.

— Jakże tam usposobieni są włościanie, jak idzie oczyszczanie w waszych stronach? zapytano go.

— E... tacy szelmy jak i wszędzie, piją, okradają, i nie więcej.

# DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).



Nr. 5.

Wiek XIII. Mężczyzna z podgoloną głową, w oponczy, za nim giermek z mieczem, dalej niewiasta trzymająca kielich. Rysunek wzięty z patyny znajdującej się w katedrze plockiej.

— A szkółki?... przecież zakładają się u was, wszak one najlepszym na to lekarstwem.

Na to zapytanie żadnej odpowiedzi nie było. Pan dziedzic machnął ręką i ironicznie się uśmiechnął, jak gdyby chciał powiedzieć: „Czy to warto? to się nie opłaca.“

A trzeba wiedzieć, że w domu tego pana dziedzica jest kilka osób należących do grona rodziny, które w ogóle mówiąc próżnują; mogłyby więc kilka godzin dziennie poświęcić pocziwemu i cichemu zajęciu nauczania włościan, tak ważnemu w dzisiejszych czasach.

Tymczasem rozmowa szła dalszym trybem.

Prowadzono rzecz o stanie gospodarstwa i finansów.

Pan dziedzic w te słowa się odezwał:

— Bardzo źle!... O, gdyby tak wojna w Stanach



Nr. 8.

Wiek XIV. Dwie niewiasty, stara i młoda. Rysunek wzięty z dyptyku królowej Jadwigi.

zjednoczonych potrwała jeszcze z lat dziesięć, a w Anglii i we Francji nieurodzaj... tobyśmy jakoś nieźle wyszli. Ale trudno *tylko* razem spodziewać się od Boga.

Od głodu, ognia, powietrza i takich obywateli, uchowaj nas panie!

Przy dziewięciu ochronach warszawskich (wszystkich razem z pragską jest 11) urządzone zostały kasy groszowe, w których terminatorzy, wyrobnicy i w ogóle najbiedniejsza klasa mogą składać od 1 do 29 groszy. Za pośrednictwem takiej kasy zbierany 1 złp., odsyłany bywa do kasy oszczędności. Przyjmowanie pieniędzy i wypłata odbywają się dwa razy w tydzień.

Największe wpływy mają miejsce przy ulicy Brzozowej, gdzie w niedziele niekiedy zbiera się tym sposobem od 300 do 700 złp.

Przy tychże ochronach urządzone są czytelnie bezpłatne, w których, za poręczeniem właściciela domu, majstra, lub znajomego opiekunowi ochrony, wypożyczają książki do domu. Czytelnia przy ochronie księdza Baudouin przy ulicy Brzozowej, zaopatrzoną jest w bardzo znaczny zbiór kosztownych nawet dzieł. Żądania bywają codziennie nadzwyczaj liczne, a w niedziele bezustanne.



Nr. 7.

Wiek XIII. Niewiasta i dziewczka z kwiatki m. Rysunek wzięty z fresku znajdującego się w kaplicy w Łędzie.

Chętnie popieramy myśl rzuconą w Gazecie Warszawskiej, aby wysłać ztąd, w miarę możności, kilku lub kilkunastu zdolnych polskich czeladników, dla obejrzenia wystawy całego świata w Londynie. Poznań i Lwów wysyłają delegatów z grona swoich stowarzyszeń czeladniczych, Warszawa więc nie powinna pozostać w tyle.

O większych zagranicznych miastach nie mówimy już nawet, tam bowiem żadna tego rodzaju sposobność nie zostaje opuszczoną, a w samej Anglii składki na wysyłanie robotników na wystawę londyńską zbierane, miliony wynoszą.

Fundusze przeznaczyćby można z summ przez zgromadzenia cechowe składanych. Przypominamy przy tej sposobności, że z kroniki naszej wyszła myśl obracania tych summ na pożyteczne cele, zamiast marnowania ich na traktamenta i uczy przy wyzwolnionych, i że ogłosiliśmy w swoim czasie postanowienie w tym względzie towarzyszy cechu mydlarskiego, którzy pierwsi dali z siebie dobry przykład. Dziś właśnie pora tym dobrym chęciom i oszczędnościom z nich powstającym właściwy nadać kierunek. Będzie to najlepsza wędrowka po Europie, do której, jak wiadomo, każdy z towarzyszy cechowych dawniej był obowiązany.

Podajemy także, po wszystkich gazetach, wiadomość



Nr. 6.

Wiek XIII. Rycerz Gozdawita i włościanin. Rysunek wzięty z fresku znajdującego się w kaplicy w Łędzie.

o zapisaniu przez p. Włodzimirza Młockiego całego majątku na stypendya dla mniej zamożnych uczniów, mających uczęszczać do szkoły głównej warszawskiej, a nimby ta weszła w życie, dla uczniów akademii medycznej. Wiadomości tego rodzaju nigdy nie mogą być zanadto powtarzane: niech służą za naukę i przykład. Zapis miał miejsce d. 1 lutego r. z. Pan Młocki, odzywając się do ojca, którego uczynił wykonawcą testamentu, mówi między innymi:

„Bóg, któremu podobają się, ojczu, zabrac ci jednego syna, natchnął go myślą przysposobienia ci wnuków na wieki!...“

Wychodzi nowe wydanie elementarzy dla chłopców i dziewcząt wiejskich, których rozeszło się już przeszło 150,000 egzemplarzy.

U S. Orgelbranda sprzedaje się droga do majątku za groszy polskich trzy.



Nr. 9.

Wiek XIV. Ziemiańcin i budowniczy. Rysunek wzięty z dyptyku królowej Jadwigi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Niechże teraz zaprzeczają, że u nas można tanim kosztem dojść do majątku!...

O błogie czasy! Tityre (i tam dalej) sub tegmine fagi.  
A co to będzie za lat tysiąc?...

### KOŚCIÓŁ I KLASZTOR KSIĘŻY CYSTERSÓW W BLEDZEWIE.

(Dziś już nieistniejący).

Bledzewo, miasteczko nad Obrą, na pograniczu marchii brandeburskiej, teraz rządowe, w piaszczystej okolicy położone, posiada 137 domów i 1451 mieszkańców, to jest 1212 Niemców-katolików, 173 ewangelików i 66 Żydów.

Bledzewo, jeszcze wsią będące, darował r. 1312 wieczyście klasztorowi księży cystersów, podówczas w Zemsku będącemu, Waldemar margrabia brandeburski. Do rządu miast wyniesione zostało r. 1519 przez króla Zygmunta I.

Istniał tu dawniej kościół i klasztor księży cystersów. Władysław Odonicz czyli Plwacz, książę wielkopolski, między latami 1232 i 1235 sprowadził kilku zakonników cystersów z Doberlugu w Luzacyi wyższej i wyznaczył im miejsce puste, błotniste, na wzgórzu nad Obrą. Miejsce to, niedaleko dzisiejszego młyna wsi Starydworek, bliżsi mieszkańcy dotychczas po niemiecku Klosterwinkel nazywają. Tam ów książę kazał im wybudować kościół drewniany, pod tytułem św. Henryka i pomieszkania dla zakonników, klasztor Doberlugiem nowym przezwiał, a na wyżywienie zakonników pięćset morgów gruntu darował. Darowiznę tę potwierdził Bolesław książę wielkopolski, syn Odonicza, w r. 1259. Posiadłościom ich, jakoteż wszystkim wsiom któreby później jeszcze założyli, nadał prawo niemieckie, jurysdykcya zaś sądowa miała należeć do klasztoru. Następnie różni dobrodzieje znaczne temu klasztorowi czynili zapisy.

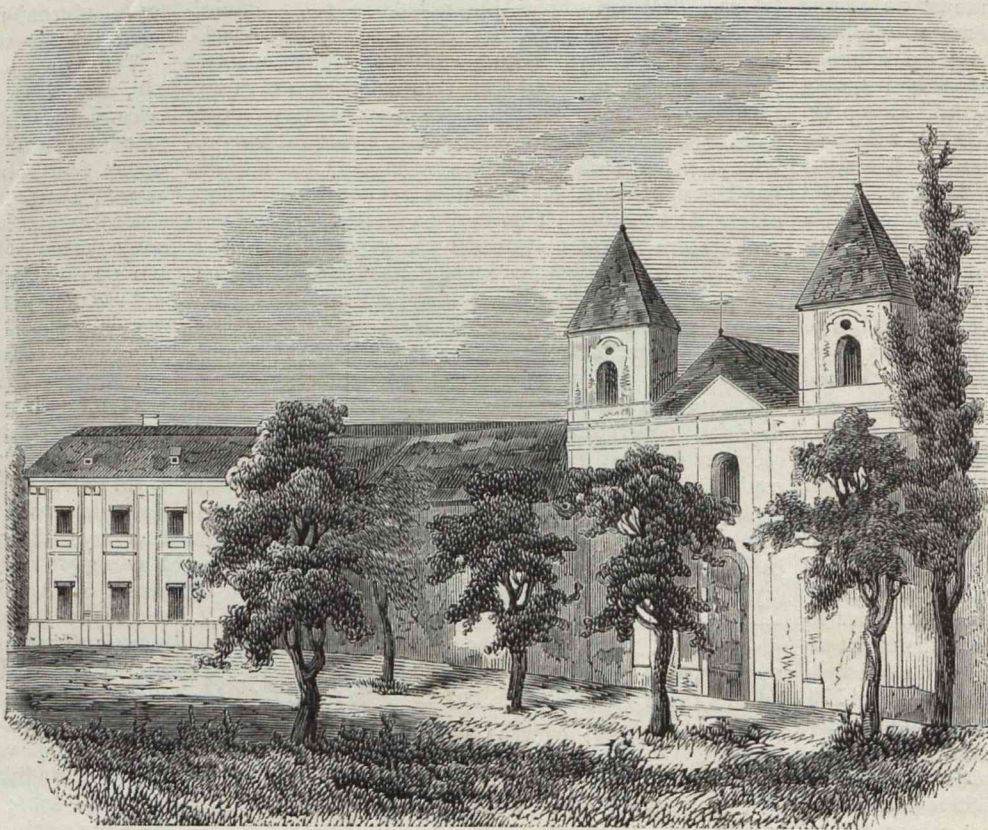
Pomimo tego pobyt zakonników w nowym Doberlugu trwał ledwie pół wieku, gdyż wygnali ich zmatąd częste wylewy rzeki Obry, które po sobie zawsze smutne zniszczenia pozostawiały ślady. W r. 1263 na przykład tak wielki był wylew tej rzeki, że w kościele klasztornym na półtora łokcia stała woda. Z tej przyczyny w r. 1285 kazali zakonnicy kościół rozebrać i przenieść do pobliskiej wsi Staregodworku, sami zaś zamieszkali w nowowystawionym kościele i klasztorze w Zemsku. Starydworek pozostał jednakże rezydencją opatów, wystawiony zaś w r. 1285 kościół, był początkowo ich kaplicą domową, a później kościołem filialnym Bledzewa. W tej swojej rezydencji opat Józef Gurowski przyjmował Piotra W. cesarza rosyjskiego, Augusta II i Karola XII, w czasie wojny szwedzkiej.

Kościół i klasztor w Zemsku stanął około r. 1280, pod tytułem Zwiastowania Najsw. Maryi Panny, w połowie murowany, w połowie zaś drewniany; do niego przenieśli się zakonnicy z Doberlugu nowego r.

1285. Ale i tu mieszkali tylko niespełna lat 130, gdyż znów, z powodu braku wody, zniewoleni byli szukać dla siebie wygodniejszego mieszkania; przenieśli się więc do Bledzewa między rokiem 1407 i 1414. Część jednak zakonników zamieszkiwała klasztor w Zemsku do r. 1578, w którym i ci z braćmi swymi bledzewskimi się połączyli. Pozostał tylko sam kościół w Zemsku, który także jest dotąd filialnym kościoła w Bledzewie.

Nakoniec w Bledzewie założył zakon fundamen-

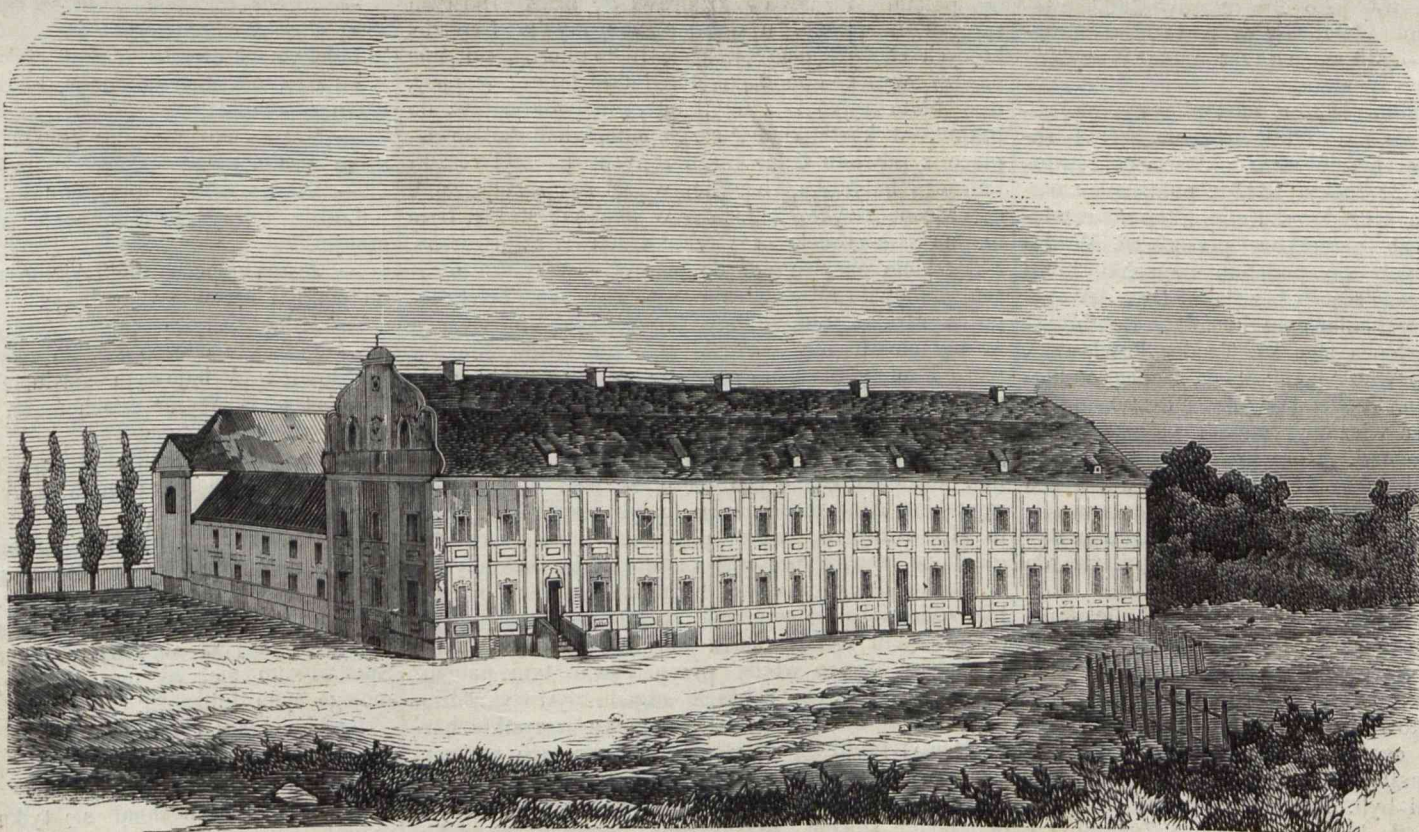
stały się pastwą płomieni. Tegoż samego roku, dnia 26 sierpnia, obrany opatem ks. Sebastian Grabowiecki, po objęciu rządów klasztoru, zajął się zaraz odbudowaniem kościoła i ukończył tę pracę w r. 1595; w następnym zaś roku kościół przez ks. Jakuba Brzeźnickiego sufragana poznańskiego poświęcono został. Zaczął także ten opat pomieszkania dla zakonników z cegły budować, a lubo umarł d. 19 października 1607 r., następca przeciw jego, opat ks. Jan Dłuski, pracę poprzednika swego dokończył. Oprócz tego opatrzył zakrystyą we wszelkie potrzeby kościelne i zrobić kazał stalla kościelne, ozdobione w różne sztucznie wykładane figury, które dzisiaj jeszcze w kościołach w Rokittnie i parafialnym w Bledzewie widzieć można. W r. 1617, w skutek wyższych rozporządzeń, zostały dobra opackie od stołu klasztorowego oddzielone, a opat Jan Dłuski d. 12 maja t. r. przekazał zakonowi niektóre posiadłości, i liczbie braci zakonnych z trzech do 14 pomnożył. Za następcy jego, opata ks. Stanisława Dembińskiego, zabezpieczone zostały granice dóbr klasztornych ze wszystkich stron, tylko mieszkańcy miasta Skwierzyny, lutrzy, ciągle je przez lat 170, od r. 1570 do 1740, niepokoili. W r. 1616 przez komisją na miejsce zesłaną, oznaczone zostały wprawdzie granice, a czynność sama potwierdzoną była przez króla Zygmunta III d. 18 lutego 1617 r., mieszczanie jednakże skwierzyńscy, niepomni na to, najeżdżali ciągle granice, rozrzucali kopce, podpalali bory opackie i klasztorne, ścinałi drzewa nawet z barciami i najeżdżali wsie, zabierając gwałtem bydło i zboże. Na takie najazdy wychodzili zawsze w liczbie wielkiej, opatzeni w broń palną, z którą na jadących lub idących mieszkańców z dobru klasztornych napadali, ranili ich, lub do Skwierzyny



KOŚCIÓŁ PO-CYSTERSKI W BLEDZEWIE, dziś już nieistniejący. (Rys. na drzewie Podbielski.)

ta kościoła i klasztoru, dokąd między rokiem 1407 i 1414 się przeniósł. Z dokumentów piśmiennych klasztoru trudno wysledzić, z jakiego materiału była ta pierwsza budowa; tylko z pozostałej jednej ściany kościelnej przy tak zwanym starym przeoracie, z napisów gotyckimi literami pokazało się, że kościół był

uprowadzali. W r. 1618 słudze klasztoru Walentemu Pniewskiemu, poslanemu do klasztoru na pole, przestrelili udo, iż natychmiast umarł, a poddanego ze wsi Zemsko tak pokaleczyli, że i on na miejscu życia dokonał. Było to w tym czasie, w którym zapaja napastników Mansfeldowskich z sąsiedniej Brandeburgii



KLASZTOR PO-CYSTERSKI W BLEDZEWIE, dziś już nieistniejący. (Rysował na drzewie Podbielski.)

murowany.

Roku 1521 żołnierze z Brandeburgii, wpadłszy do dóbr klasztornych, wsie do nich należące spalili, sprzęty wszelkie opackie i klasztorne zabrali, z folwarków zaś uprowadzili wiele inwentarzy. Sam tylko Bledzew, już podówczas miastem będący, ocalał od ognia, gdyż go klasztor trzydziestu złotemi reńskimi okupił. W r. 1592 tak kościół jak i klasztor

W r. 1618 słudze klasztoru Walentemu Pniewskiemu, poslanemu do klasztoru na pole, przestrelili udo, iż natychmiast umarł, a poddanego ze wsi Zemsko tak pokaleczyli, że i on na miejscu życia dokonał. Było to w tym czasie, w którym zapaja napastników Mansfeldowskich z sąsiedniej Brandeburgii wpadła tłumnie w okolice. Nie przepuszczali oni nikomu, wszystko zabierali i mordowali, a kto chciał życia swoje ocalić, chronić się musiał. Przez nich ks. Szymon Kawka, professor i ekonom opata, schwytyany i zabity został d. 28 lipca 1627 roku. Aby położyć koniec najazdom skwierzyńskich mieszczan i zaprowadzić wzajemną zgodę, król Zygmunt III na sejmie 1629 r. w Warszawie nową wyznaczył komisją graniczną, która potwierdziła granice ustanowione niegdyś r. 1421 przez Sędziwoja wojewodę poznańskiego.

W r. 1656 było morowe powietrze w Bledzewie; dlatego zakonnicy przenieśli się do Rojewy. Ale i tam ich śmierć dosięgła, i od d. 28 sierpnia do 11 listopada, dziewięciu zakonników umarło. Dnia 17 lipca 1664 r. zgorzało całe miasto, tak iż tylko 5 domów i stodoły pozostały.

W czasie wojny szwedzkiej za Karola XII, opat Józef Gurowski, wraz z ks. Edmundem Bütnerem, zostali

aresztowani, związani i od miasta do miasta wożeni, znosząc wiele złorzeczeń i obelg, a ks. Bütner, okuty w kajdany, w stajni leżąc musiał. W r. 1709 wpadli znów Szwedzi do klasztoru, a trzymając przeora Walentego Orchowskiego i Maurycego Ochmanowicza podprzeora pod strażą, z dobytymi pałaszami wszystkie miejsca w klasztorze i oficynach przeglądali, zabierając co znaleźli. Rękopis klasztorny mówi: iż jeden żołnierz, wyszedłszy z zakrystyi, oderwał po lewej stronie podłogę, spodziewając się tam co napotkać; lecz zaduch z ciał pochowanych tam opatów tak szkodliwie go ogarnął, iż natychmiast na ziemię się wywrócił, a lubo przybyli żołnierze wynieśli go na świeże powietrze, jednakże na drugi dzień umarł. Gdy jednak zaburzenia wojenne ustawały i spokój w kraju nastąpił, klasztor okazał się za szczerpym i niewygodnym dla pomnażającej się liczby zakonników. Z tej przyczyny opat ks. Aleksander Benedykt Gurowski, obrany dnia 16 czerwca 1722 r., kazał wymurować obszerniejszy. W r. 1736 ukończone było od strony zachodniej jedno skrzydło tegoż klasztoru aż do celi, w której na ścianie istniał niegdyś napis o tém świadczący. Było tego opata zamiarem dalej jeszcze rozszerzać klasztor, lecz śmierć dnia 20 lutego 1742 r. zamiar ów przerwała. Dwaj następcy jego, opaci Michał Gorczyński i Michał Konarzewski, nie także w tej mierze nie uczynili. Za trzeciego opata ks. Michała Józefa Loka, r. 1761, w godzinę po odprawionej jutrzni, zapadło się sklepienie kościelne. Wielki ten miłośnik budowl, który przy kościołach w Obrze, Rokitnie i po innych miejscach do zakonu ks. cystersów należących pamięć po sobie pozostawił, a byłby zapewne przy dłuższym życiu i o kościele i klasztorze w Bledzewie pomyślał, zmarł dnia 4 marca 1762 r. Z pozostałego po nim majątku, zaczęło zgromadzenie braci w r. 1765 budować drugą część klasztoru od strony północno-wschodniej i ukończyło go ze wszystkimi potrzebami do zamieszkania 1776 r., jak świadczył napis na ścianie. Potem wystawiono trzecią część gmachu od strony wschodniej i ukończono budowlę ze wszystkimi w r. 1783. Malowania kapitułarza i biblioteki wykonał w r. 1789 malarz Ratke z Międzychoda. Kościół klasztorny, grożący z innych powodów nieszczęściem, rozebrano, a zgromadzenie zajęło się wzniesieniem nowej świątyni, do czego fundamenta d. 4 lipca 1786 r. założono. Budowlą tą dopiero w r. 1797 posunięta została do dachu, gdy zaś w tym czasie dobra klasztorne, z rozkazu rządu pruskiego, na skarb zabrano, zgromadzenie, pozbawione wszelkich funduszów, dalszej budowy zaniechać musiało. Dopiero na wstawienie się opata ks. Onufrego Wierzbńskiego do króla pruskiego, wypłacono w r. 1799 z kasy rządowej jako dar talarów 5603 i z tego funduszu kościół klasztorny w r. 1802 ukończony, w następnym d. 30 maja przez opata Wierzbńskiego pobłogosławiony został.

Z dniem 31 grudnia 1835 r. nastąpiła zupełna kassacja tego klasztoru, a według rozporządzenia regencyi, został nawet kościół wraz z klasztorom i gruntem za 4825 tal., d. 24 lutego 1843 r. publicznie z warunkiem rozebrania sprzedany. Kościół ten nie zawierał w sobie żadnych pomników przeszłości. W dawniejszym znajdowały się podobno nagrobki kilku opatów, ale te zatracone zostały bez śladu. Dwa dzwony, z których jeden kazał odlać opat Stanisław Dembiński r. 1628, drugi następca jego ks. Teodor Pawłowski, zdjęto z klasztornej wieży i do kościoła farnego w Bledzewie przeniesiono. Temuż kościołowi dostał się także klasztorny zegar wieżowy, wraz z należąciami do niego dwoma dzwonami, które podobnież kazał ułać opat Stanisław Dembiński r. 1623. Biblioteka klasztorna liczyła niegdyś około 6000 tomów i była bogata w polskie druki. Po zniesieniu klasztoru przeniesiona w styczniu 1843 r. do Międzyrzecza, weszła zapewne do biblioteki tamtejszej szkoły realnej.

Wspomnieć tu jeszcze należy, iż r. 1762 mieszkańcy Marchii, roszcząc sobie jakieś do klasztoru pretensye, ścigali je przez egzekucyę wojskową. Klasztor wtenczas 28492 talarów wypłacić musiał.

Wszystkich opatów, najprzód zemskich, następnie bledzewskich, było ogółem 39. Pierwsi przez lat 250 w liczbie 14 z klasztorów niemieckich, mianowicie z Kolonii wybierani byli. Tak samo prawie działo się w całej Polsce, aż do konstytucyi króla Zygmunta I r. 1511, który postanowił, aby odtąd w królestwie polskiem opaci zakonnicy z ojca i matki byli Polakami i szlacheckiego rodu. Ta konstytucya została w roku 1538 ponowiona; w roku zaś 1550 dodano: aby szlachectwo to pochodziło z ojca i matki, a gdyby w klasztorze, w którym opactwo wakowało, taki szlachcic znaleziony być nie mógł, miano wtenczas wybrać z téjże samy dycezyi szlachcica nawet nie profesora. W myśl więc tych rozporządzeń w roku 1516 obrany został w Bledzewie piętnasty z porządku,

a pierwszy opat Polak ks. Jan Seidlitz, profes z klasztoru bledzewskiego.

Lubo opatów napozór wybierali zakonnicy, gdy jednakże po większej części naprzód zaleceni byli przez królów, przeto tak w Bledzewie jak w innych klasztorach cystersów zdarzało się, iż opatami zostawali tacy, którzy professyi zakonnej nie wykonali. Tak Andrzej Kościelecki, kanonik katedralny poznański, mianowany opatem w r. 1582 z tym warunkiem, aby habit zakonny przyjął i professyę wykonał. Pomimo to nigdy warunku tego nie dopełnił i przez dziewięć lat zarządzał opactwem bledzewskiem przez administracyę. Następca jego, ks. Sebastyan Grabowiecki, dopiero w czwartym roku po objęciu rządów opactwa śluby zakonne wykonał i habit przywdział, i to za wyraźnym rozkazem ks. Mateusza Borzewskiego opata łędzkiego, podówczas kommissarza i wizytatora prowincyi polskiej. Gdy zaś to sprzeciwiało się tak prawu kanonicznemu, jak statutom zakonu cysterskiego, przeto Aleksander VII papież, na prośbę generalnego prokuratora zakonu cysterskiego, wydał breve w r. 1666 d. 19 kwietnia, w którym postanowił, aby odtąd pod nieważnością na opatów wybierano tylko professów zakonu cysterskiego. To samo potwierdzili następni papieże, Klemens IX w r. 1668 d. 7 grudnia i Aleksander VIII w r. 1689 d. 23 grudnia.

Ostatnim opatem bledzewskim był ks. Mateusz Prądzynski, poprzednio przeor pelpliński, zmarły d. 23 czerwca 1829 r. Po jego śmierci aż do kassacyi, zarządzali klasztorom przeorowie. Wydał ten klasztor z posród siebie, prócz wielu innych zasłużonych i uczonych mężów: Jana Kaźmirza Opalińskiego biskupa chełmińskiego i ks. Urbana Flaum, który był nauczycielem szkoły wyższej we Wschowie.

## WIDZIAŁO SZCZĘŚCIA,

POWIEŚĆ Z ŻYCIA SPÓLczesnego.

przez

FELICYANA.

I.

### Spotkanie.

— A! Jak się pan dobrodziej ma? witam pana. Działo się to na jednej z mniej ludnych ulic miasta. Osoba która wymówiła te wyrazy głosem grubym i chrypliwym, był to mężczyzna mogący mieć około pięćdziesięciu lat wieku, atletycznych wymiarów ciała, ubrany w surdut bajowy, długi, wytarty, poplamiony, polatany i znowu podziurawiony prawie na tych samych miejscach, u dołu poszarpany w frencele, których chciwie poczepiało się błoto uliczne. Spodnie bardzo wysoko podciągnięte, letnie jakieś, w pasy, dziś błoto tylko i szmaty; buty niepodobne już do butów, wykoszlawione, rozklapane, nielitościwie sapiące z powodu dziur niezliczonych; na szyi resztki czarnego halsztuka, bardziej wiszące niż zawiązane, odwrócone zwykle fontaziem w jakąbądź stronę, byle nie na sam środek; oraz czapka stara i zatłuszczona, z daszkiem oberwanym do połowy, — wszystko to razem stanowiło niby ubranie tego człowieka. Twarz jego wyrażała... nie, dajmy lepiej pokój téj twarzy, w téj chwili nie wyrażała ona nic wcale. Niegdyś może i miały blask te oczy zagasłe i zapuchłe; usta, dziś głupowate i nabrzękle, może umiały uśmiechać się i rozciągać po ludzku; twarz wreszcie mogła być kiedyś przystojną, może nawet i piękną — dlaczegoż nie? każdemu wolno być pięknym, jeśli go Bóg stworzy takim. Ale powiedzcie mi, gdyby naprzykład Apollo albo Antinous, wzory piękności, technieniem Pygmaliona zagnały przywołane do życia, ocknęły się w wieku dziewiętnastym, i znudzone robieniem z siebie widowiska po muzeach, rozsmakowały się w wesolém życiu warszawskich szynkowni, czy sądzicie, że byłoby się co wtedy przypatrywać tym panom? Czy zdaje się wam, zebyście odgadli myśl wykradzioną z nieba, na twarzy naleciałej we wszystkie barwy tęczy; profil idealnej czystości, w rysach wykrzywionych; żywe słowo, na ustach posiniąłych i spalonych gorączką; światło duszy, w oku które zgłasło podkopane sińcem, przyduszone obrzmiała powieką, strawione czerwonością; jedném słowem, podobieństwo Boga, w istocie, która zaczęła być zwierzęciem, a nie przestała mieć kształtu ludzkiego? Bodajto być arcydziełem z glazu! Wypatrzą cię w gruzach, w błocie, na śmietniku, obmyją, oczyszczą, przyprawią co się ukruszyło, ustawią jak za dawnych czasów; a potem przychodzą tłumy, podziwiają, czołem biją, książki piszą, naśladują, zazdroszczą. Ale człowieka kto podejmie z gruzów które go przywalily? kto go podniesie z błota w które się posłiznął? kto mu poda

rękę na śmietniku, na którym usiadł odpocząć, bo może nigdzie indziej nie miał wytchnienia?... A przecież to arcydzieło ręki Bożej, nie ludzkiej. Więc też mówią pobożni: niech go Bóg podniesie; a praktyczni: niech się sobie sam podniesie; a ci co mają dobre chęci: trzeba go tam będzie podnieść kiedy. Tedy staje się, że radzić musi sam sobie, a to tak trudno, czasem nawet niepodobna!... Bo chcąc sobie radzić, chcieć trzeba; a czasem i chcieć nie można, bo się już niczego nie chce na świecie. A Pan Bóg nie może zbawić człowieka bez jego woli. Otóż tak było z naszym nieznanym. I co też wyrażać mogła twarz jego? jak się wam zdaje? jak się wam zdaje?...

Ten którego nazwano panem dobrodziejem, szczupły, średniego wzrostu, ciemnego wlosa, bladę cery, ubrany był starannie, a idąc szybkim krokiem, ręką jaknajdokładniej opiętą w jasnej świeżej rękawiczce unosił nad sobą parasol, gdyż drobny a uparty dęszczyk, zwany powszechnie kapuśniaczkiem (nie wiedzieć czemu, bo on podobniejszy do krupniku), padał sobie cierpliwie od niejakiego czasu. Nie wyglądał ten pan w żaden sposób na pana dobrodzieja, bo pan dobrodziej, jestto koniecznie stary jakiś jegomość, siwy lub łysy, lub przynajmniej gruby, w kapocie, w czapce baranięj, mający w rękę laskę z siekierką. Ale bo też i wyraz ten „pan dobrodziej“ dziwne miał brzmienie w ustach bajowego człowieka. Powiedziałoby można, że to czego nie wyrażała twarz jego, wyrażały słowa, czyli raczej sposób ich wymówienia. Pan, zdawał się w nich sprzeciwiać dobrodziejowi, i to w taki sposób, jakby nie podobna być dobrodziejem, będąc panem, i wzajemnie. I w zapytaniu też „jak się ma“ nietyle było troskliwości o zdrowie zaczeponiego, ile raczej podziwienia, że się on jeszcze ma na świecie w jakikolwiek bądź sposób. Trudno zgadnąć powód tego ostatniego względu. Wprawdzie nieznanomy zdawał się należeć do rzędu ludzi, którzy bywają starcami w młodości, a młodzikami aż do najpóźniejszych lat życia, przez co znajdują się w nieustanném przejściu, nie dającem nigdy dokładnie oznaczyć, ile mieć mogą przed sobą, ile po za sobą; nie wydawał się jednak ani tyle spóźnionym, żeby już czekać nie miał ochoty, ani tyle pośpieszonym żeby już czekać nie miał na co.

— Jak się pan dobrodziej ma!??

Przechodzący zmierzyl z góry nieznanomego, niecierpliwie zacisnął blade, drobne usta, i szepnął przez zęby, nie zatrzymując się.

— Jak się asan masz.

— Jak się pan dobrodziej ma? rzekł powtórnie człowiek obdarty, biorąc poufale za rękaw przechodzącego i zatrzymując go.

— Jużem to słyszał, proszę mnie puścić, czego asan chcesz? jałmużny?

I dobył sakiewkę.

— Nie, nie chcę jałmużny, tylko—tylko—chciałem się przypomnieć.

— Proszę się mnie nie czepiać. Nie przypominam sobie wcale.

— Kiedyś miałem przyjemność...

Ludzie uprzykrzeni miewają uprzykrzone przyjemności.

— Jesteś mocno nieprzyjemnym, mój panie. Daj mi pokój i idź w swoją drogę.

— Jednakże...

— Jednakże odczep się, bo zawołam na policyę.

Człowiek w bajowym surducie wyprostował się i nawet jakiś wyraz szlachetności rozjaśnił te rysy splugawione opilstwem.

— Na policyę? miałbyś czoło zrobić to?

— Precz! Coś ty za jeden? taki naprzykrzony! Nie znam cię.

— O ty znasz mię, panie hrabio. Prawda że nędzka zmieniła mię tak, że nieraz sam siebie pytam: czy to ja, ten człowiek dzisiejszy? a jednak, ty jeden poznasz mię wszędzie i zawsze, choćby ci się to nie przedzję aż w godzinę śmierci zdarzyć miało. Spodziewam się, że tém bardziej nie zapomniawsz mojego syna Juliana?...

Hrabia zbladł i zadrał.

— Ignacy Skalski—wyszeptał z cicha—w tym stanie! czy podobna?

Nieznanomy uśmiechnął się tylko gorzko i nic nie mówił. Milczeniem swoim wypowiadał on więcej, niż najwymowniejszymi wyrzutami. Był to niby tryumf z jego strony, roztaczając przed zdumionym wzrokiem hrabiego, aż do najdrobniejszego szczegółu, wszystkie swoje upadki powierzchowne, dozwalając się domyślać tylu innych wewnętrznych.

I było co widzieć wtedy tych dwóch niegdyś znanych, odnawiających znajomość w sposób tak nieprzewidywany, pod niepokojnym niebem, pośród błota ulicznego, na którym spotkały się drogi ich życia. Jeden zdawał się urastać swoim poniżeniem,

drugi widocznie małał w obec siebie samego, upokorzony, niejako wbity do ziemi, czy wspomnieniami jakimiś, czy też niespodziewanym wrażeniem chwili obecnej.

— Więc czego chcesz, człowieku? jak ał hrabia niewyraźnie, jakby przez sen; nie mam czasu, śpieszę się.

— Nie śpiesz się; im dalej do grobu, tém lepiej dla ciebie.

Hrabia obejrzał się niespokojnie, chciał coś powiedzieć, ale poruszył tylko ustami, widocznie cofnął swoje słowa.

— Prawda, rzekł tamten ponuro, jakby zgadując myśl towarzysza; wstydem ci być może nędza moja w obec ludzi. Idź wolno. Tylko powiedz mi wprzódy—bo nie widzieliśmy się od czasu... to jest oddawna, a dużo mamy do pomówienia—gdzie mieszkasz?

— Ulica Długa, Nr 243.

Obszarpaniec puścił rękaw hrabiego. Twarz jego, rozszlachetniona chwilową grą gorzkich wspomnień, stopniowo wróciła znowu do swojej bydlęcej nijakości. Jakiś smutny wyraz upodlenia wyjrzał z jego zapuchłych oczu, przeleciał po twarzy i zadrzał na ustach.

— Panie Arturze, wyjąkał z cicha z pewnym wahaniem, oglądając się niespokojnie; gdybyś wiedział co za nędza nas przyciska. Nie miałem nic w ustach od dnia onegdajszego. Nie chcę jałmużny, oddam jak tylko mieć będę, ale głód, pojmujesz pan, czyli raczej nie pojmujesz może, bo wy tego nie znacie....

Wyraźnie dwa żywioły walczyły w tym człowieku: dawne jego, szlachetne zapewne życie, uczciwa przeszłość, z teraźniejszością, co się walała w błocie, napróżno starając się, lub może i nie starając się już, otrząść z niego.

Hrabia ze wstrętem włożył mu w dłoń dukata.

Nędzarz chciwie skurczył rękę, a tamten, korzystając ze zrzeczności, oddalił się śpiesznym krokiem.

— Ale, ale, jaki numer? bo zapomniałem—wolał za nim obdarty towarzysz.

— 528, krzyknął z daleka.

— 528, powtarzał sobie lubownik gorzałki, zapisując ołówkiem liczby na małym kawałku papieru wyciągniętym z kieszeni.—528, to szczególnie! nieledwie założyłbym się, że wprzódy powiedział inaczej, zdaje mi się że dwieście i coś, ale musiałem się przesyłać. Wreszcie mniejsza o to, wiem ulicę i potrafię go znaleźć, choćby przyszło chodzić od domu do domu.

Powiedziawszy to, potoczył się z wolna wzdłuż chodnika, mrużąc sam do siebie i rozprawiając rękami.

Tymczasem hrabia, jakby rozmyśliwszy się inaczej, w pewnym oddaleniu obrócił się i zaczął iść za swoim napastnikiem, chcąc go może doścignąć i coś mu jeszcze powiedzieć. I rzeczywiście już go dosięgał, kiedy wtém tamten najniespodziewaniej zrobił pół obrotu i znikł we drzwiach jakiegoś szynkowni. Wtedy postać przez chwilę, pomyślał, zawahał się i wreszcie poszedł w swoją drogę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## ROZMAITOŚCI.

Pieśni marsowe imci pana Franciszka Sebastjana Lubomirskiego, natenczas kawalera maltańskiego, akomodującego się imci pannie Bokonównie.

(Z rękopisu 1699 r.)

Franciszek Sebastjan Lubomirski, syn Jerzego marszałka wielkiego koronnego i hetmana polnego z Tarłówny, starosta olsztyński, zakochawszy się w pannie Bokonównie, ułożył pieśń i do niej muzykę, a zebrawszy kapelę i wyuczwszy ją grać takową, z drużyną przyjaciół przybył kuligiem, w kilkanaście sań, w dom swęj bogdanki i po powitaniu z chórem zaśpiewał.

„W kotły do boju, w trąby polnego  
Marsa bitnego  
Uderzcie!

Darmo te gniewy, darmo hałasy,  
Zapustne w czary bić kazą czasy.

Idę na groty z dzielnej ochoty,  
Idę na męże. Nieście orężę

Marsowe!

Jeszcze się w Dniestrze, jeszcze w Dunaju  
Dosyć napławisz: teraz w tokaju.

Kordy, szyszaki, łuki, sajdaki,  
Tarcze, koncerze, zbroje, pancerze

Wynoście!

Co po pałaszach, co po rynsztunku?  
Będzie czas do krwie, teraz do trunku.

Stąncie w paradzie w twardym hałacie,  
Stąncie do boju w żelaznym stroju

Junacy!

Uczyni imprezy swojej odmianę,  
Ma także Bachus rotę kwarciane. (\*)

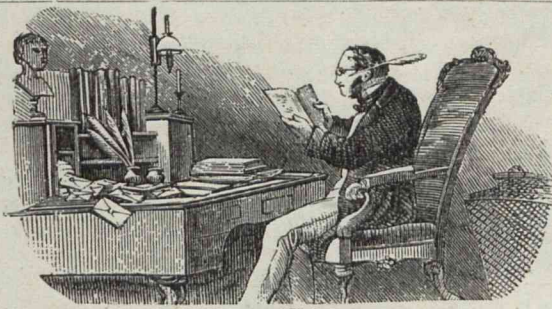
Ze mną do szyku,  
Cny komuniku! (\*\*)

Ze mną do tanu, ze mną do koła,  
Gdy sama każe chwila wesola.

Nie chcę sonaty, wolę granaty,  
Nie chcę muzyki, wolę okrzyki  
Marsowe.

Radość ja z sobą prowadzę w parze,  
Przestań już ze mną na tym poszarze!

Lubomirski, pomimo tych zalotów, nie ożenił się ze swoją bogdanką. Ochoczy do zabawy, dzielny w boju, zakończył życie młodo w r. 1699.



Panu L. J. w Warszawie. Wskazany przez pana sposób otrzymania kwadratury koła, zrzecznie jest obmyślony; zawsze atoli będzie to tylko sposób mechaniczno-graficzny, nie zaś matematyczny. Dla wiadomości tych wszystkich, co jeszcze napróżno zaprzatają sobie głowy niepodobnemi do urzeczywistnienia mrzonkami, dodajemy, iż znalezienie figury prostokątnej, ściśle co do powierzchni równoważnej danemu kołu, już dlatego samego jest niemożliwem, że, jak wiadomo, powierzchnia samego koła da się obliczyć tylko przez przybliżenie; stosunek bowiem średnicy do okręgu koła, jakkolwiek w najnowszych czasach posunięty do pięćdziesiąt cyfr dziesiętnych, pozostanie zawsze ilością niespółmierną, raz większą, drugi raz mniejszą od ilości szukaney, której przeto wyrażenie w liczbie skończonej, matematycznie dokładnej, namacalną jest utopią.

Panu Aleksemu M. w Warszawie. Wiersz p. n. „Majowym rankiem“ i kilka poprzednich odebraliśmy. Niektóre w czasie właściwym wydrukujemy.

Panu B. F. w Radomiu. Nadesłane rebusy użytymi być nie mogą.

Panu M. P. w Próżanie. Na zapytanie pańskie odpowiadamy, że niema żadnego powodu pisać we Świsłoczcy; należy mówić i pisać w Świsłoczcy, tak samo jak: w świecie, w świdrze, i t. p. Inna rzecz z przyimkiem z (ze Świsłoczcy), bo tu dodaje się e dla przzerwiania zbiegu dwóch syczących spółgłosek.

Panu K. K. w Nieświeżu. Nadesłany nam taskawie portret Antoniego Malczeskiego, wyjęty z dziełka Bielowskiego p. n. „Antoni Malczeski, jego żywot i pisma.“ otrzymaliśmy i u przyjemnie za pamięć dziękujemy. Wizerunek ten jest nam znany oddawna; nie uważamy go jednak za wiarogodny, i dlatego w ostateczności tylko zrobilibyśmy z niego użytek.

Panu Wł. D. w Krzywoności. Wizerunki Długosza i Kromera odebraliśmy. Korrespondencją pańską drukujemy w dzisiejszym numerze. Ustęp wtrącony niech pana nie uziwi; wytłumaczymy się z tego później.

Ks. J. C. w Sulisławicach. Trzy rysunki projektu do budowy kościoła w Sulisławicach odebraliśmy i chętnie odtworzymy je w Tygodniku. Koniecznie jednak byłby nam potrzebny choć krótki opis objaśniający niektóre szczegóły. Bez tego nie zrobić nie możemy, gdy nawet nazwisko autora projektu nie jest nam wiadomem.

Panu A. E. C. w Waliszewie. Artykuł, według życzenia pańskiego, przesłaliśmy redakcyi Czytelnii Niedzielnęj.

## SPROSTOWANIE.

W ostatnim numerze Tygodnika, w życiorysie Martynowskiego, nie z naszej winy ani z winy drukarni, zasły następujące pomyłki: Strona 41, szpalta 2, wiersz 1 od dołu, zamiast pod Wilnem, powinno być pod Winnicą. — Strona 42, w samym końcu życiorysu, zamiast Litwy, czytać należy Ukrainy.

## KORRESPONDENCYA

### TYGODNIKA ILLUSROWANEGO.

Krzywonos, 15 stycznia 1862 r.

Przy obecnej zmianie stosunków włościańskich, koniecznością jest położenia, aby przyszli obywatele kraju mieli początkowe chociaż ukształcenie. Konieczności tej dowodzić nie potrzebuję; tyle już bowiem i tak grnntownie pisano w tym przedmiocie, że słowa moje byłyby zupełnie zbytecznemi.

Zamiarem moim jest tylko napomknąć, że trzy obecnie rozbiegane kwestye, to jest:

1. Zkąd brać na początek nauczycieli wiejskich?
  2. Gdzie umieścić szkołę, gdy niema funduszu na wybudowanie oddzielnego domu?
  3. Nakoniec, kto właściwie nau zyciela wiejskiego oplacać powinien?
- nie są może tak trudne do rozwiązania, jak się to z pozoru niektórym wydaje.

(\*) Gra wyrazów. Wiadomo że były pulki zwane kwarcianemi, od podatku kwarty.

(\*\*) Komunik, wyrażenie wojskowe dawnych czasów: iść razem w silnym oddziale, konno i bez taboru.

Nie myślmy tylko z razu o zbyt wielkich rzeczach, a raczej pamiętajmy na staropolskie przysłowie: według stawu grobla.

Rzucając moje w tym względzie uwagi, może być że i o czém inném się rozgadamy. Nie będzie w tém moja wina. Wszak wielomówność, to nasza wada, a ja nie mam pretensyi być lepszym od innych. Proszę więc zawczasu o pobłażanie.

Nazywają nas starszą bracią włościan naszych. Tak jest rzeczywiście, i chętnie nazwę tę przyjmujemy. Nie nośmy więc napróżno tego wielkiego imienia. Jeżeli podobają się Bogu uposażyć nas więcęć duchowo i materyalnie, poświęćmy drobna cząstkę tego mienia naszego, dla młodziej braci naszey. Wprawdzie widzimy tu i owdzie cząstkowe usiłowania obywateli, oświatę ludu na celu mające; lecz usiłowania te, dlatego właśnie że są dotąd tylko cząstkowe, żadnego staowczego rezultatu wydać nie zdołają. Niech więc każdy z nas, w miarę możności swojej, tworzy we wsi szkołkę dla dzieci włościańskich, w którejby głównie zimową porą czytania, pisania i rachunków uczyć się mogły. Spotka mnie może zarzut, iż niepodobna w każdej wsi znaleźć nauczyciela, miejsca na szkołkę, a nadto nie każdy z nas (tam zwłaszcza, gdzie włościanie do tego przyczynić się nie są w stanie) posiada fundusze, własnym kosztem nauczyciela wiejskiego utrzymywać mu pozwalające. Otóż na wszystkie te trzy kwestye razem, pokrótce odpowiedzieć postanowiłem.

A najprzód: Zkąd w każdej wsi wziąć nauczyciela? Każdy z nas prawie ma przy gospodarstwie lub na usługach domowych człowieka piśmiennego, to jest umięjącego dobrze czytać i jako tako pisać i rachować. Ten, za oddzielnym wynagrodzeniem przez nas mu udzielanem, podjąłby się chętnie obowiązków nauczyciela wiejskiego. Wynagrodzenie to nie potrzebowałoby wcale być wysokiem; biorąc bowiem pensyą i ordynaryą za pełnienie obowiązków służbowych, kontentowałby się małą podwyżką takowych, mając to na uwadze, iż czas nauce dzieci przezeń poświęcony, do rozporządzenia chlebobdawcy jego właściwie należy, i w razie polecenia tegoż, innemu zatrudnieniu oddanym byćby musiał. Nauka znowu dzieci włościańskich nie przeszkodzi służącemu dworskemu do pełnienia innych jego obowiązków; pora bowiem zimowa, która głównie nauce tej poświęcana być może, nie przedstawia tyle w gospodarstwie wiejskiem zatrudnień, ile inne pory roku ich zastępcza. Jedną godzinę czasu na dzieć oddana nauca, byle tylko dobrze była użytą, wystarczyć może. A jakim sposobem wykład nauk mogłoby być zaniedbanym, kiedy my sami będziemy inspektorami, dyrektorami i wizytatorami szkół naszych?

Przystępuję z kolei do drugiej kwestyi, to jest do miejsca na szkołkę. Jeśli tylko z jednej wsi dzieci do niej uczęszczają, jedna dosyć obszerna izba będzie dostateczną. Izba taka wszędzie, czy to na wsi, czy w folwarku się znajdzie, zwłaszcza przy dobrej chęci gospodarza. Gdyby jej nawet całkiem z razu nie było, włościanin szczupłą rodzinę mający, chętnie przyjmie do siebie na mieszkanie sąsiada, byle się tylko miejsce na szkołkę znalazło. Koszt urządzenia szkołki wstrzymywać nas też nie może, będzie on bowiem bardzo mały. Prosty stół sosnowy na środku, a na nim gipsowa figurka Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus na rękę, przed którą uczniowie za przybyciem do szkołki w obecności nauczyciela pacierz mówić będą, kilka koło stołu ławek sosnowych, kilkanaście egzemplarzy elementarza, tablica czarna drewniana, kilkanaście wreszcie fur chrustu na opał, oto i wszystko. Zdaje się, że na to stanie każdego.

O trzeciej kwestyi, jaką jest opłata nauczyciela, wyżej już nadmienilem. Z samej natury rzeczy musi ona do nas należeć. Niepodobniestwem jest bowiem, żebyśmy żądali od włościan, aby oni się przyczyniali do opłacania człowieka na usługach naszych zostającego. Natomiast gdzie włościanie są zamożniejsi, możnaby od nich śmiało zażądać składek na kupno elementarzy i kosztu innych szkolnych materyałów, których sprawieniem zająłby się zawsze gospodarz wiejski. Koszt na to włościanie z chęciąby ponieśli, bo coraz bardziej rozszerza się w massach przekonanie o potrzebie oświaty, i można powiedzieć że od lat kilku bardzo zbawienna pod tym względem w ludzie naszym nastąpiła reakcyja. Nadto włościanie każdej wsi mieliby obowiązek wozic kolejno chrust na opał szkołki przez nich przysposobiony, czy to w konie dworskie, czy we własne, stosownie do miejscowości; młode zaś uczennice, pod dozorem matek, kolejno także utrzymywałyby czystość w szkołce, a to celem przyuczania ich zawczasu do zamilowania porządku i ochędostwa. Obowiązkiem znów nauczyciela byłoby dojrzyć, aby każde dziecko przychodziło do szkołki umyte i uczesane, i choć skromnie ale czysto ubrane,

Zwracałby też pilną uwagę, ażeby dzieci poważnie, powoli i dobrze pacierz mówiły.

Zarzuć mi kto może, iż człowiek w usługach dworskich zostający, jeżeli to będzie pisarz, karbowy lub ogrodnik, na wiosnę, w lato i na jesieni, za rozpoczęciem większych robót w gospodarstwie, nie będzie miał czasu szkółkę się zajmować. To prawda, ale i uczniowie jego nie będą wtedy mogli do szkółki uczęszczać; wiadomo bowiem, że w tych porach roku dzieci włościańskie, chociażby niezdolne jeszcze było do pracy w ogrodzie lub polu, pomaga rodzicom jako piastun młodszego rodzeństwa, albo też w takich robotach przy gospodarstwie domowym, do których siły jego i pojęcia są już odpowiednie. W tym więc czasie, ażeby dzieci nie zapomniały tego czego się w zimie nauczyły, nauczyciel zgromadzać je powinien co niedzielą po południu i wycieczką lekcyjną z nimi odbywać. Po skończonej zaś nauce, korzystając z dni dłuższych i czasu wolnego, zaprosić winien do szkoły rodziców i starsze rodzeństwo uczących się dziatwy, i czytać im Czytelnię niedzielną, lub Kmiotka, które w każdej wsi być powinny.

Podobne odczyty, bardzo przez włościan naszych upragnione, z większym nierównie dla nich pożytkiem mogłyby się odbywać we dworze. Nieraz zdarzyło mi się słyszeć, jak niejeden z nas, zwłaszcza w dzień niepogodny lub podczas złej drogi, kiedy ani wyjechać do sąsiada, ani też spodziewać się gości w domu nie mógł, uskarżał się w święto na nudy. Nudy na wsi!?! bajki to, mój przyjacielu! Na wsi się nudzić nie można. My mamy tyle zadań przed sobą, że całe życie do spełnienia ich nie wystarczy. Oto zaraz na te nudy bardzo zbawienne przepiszę ci lekarstwo, bylebyś go tylko chciał użyć. Masz u siebie pokój, w którym załatwiasz rachunki z ludźmi i tym podobne interesy, zwykle pokojem gospodarskim zwany. Otóż zapisz sobie Kmiotka od początku roku zeszłego, je-

żeli jeszcze dotąd tego nie uczynił, i do tego gospodarskiego pokoju zaprosz po południu, w każdą niedzielę którą w domu przepędzasz, swych braci włościan, a zaczawszy od pierwszego numeru z roku zeszłego, czytaj im i objaśniaj to pismo. Pomimo bowiem całej popularności wykładu zdolnego i pracowitego redaktora Kmiotka, są tam przedmioty tak dla ludu wiejskiego, jak i dla nauczycieli jego, z samą już natury swojej, mniej przystępne. Wielkich korzyści dla stron obu z tych odczytów przedstawia-



KLASZTOR W POCZAJOWIE. (Rysował podług Müntza Kostrzewski.)

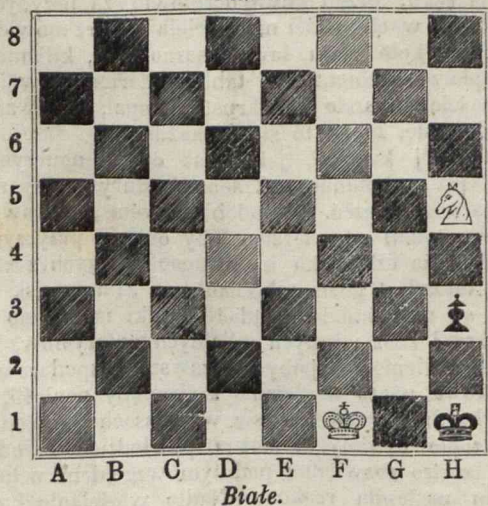
## SZACHY.

(S. J. z Lublina).

### ZADANIE XCVII.

Białe zaczynają i dają mata za szóstym posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 96.

Białe.

Czarne.

- 1) D 2 — C 1 † . . . . . 1) B 2 — A 4 biorą.
- 2) E 4 — C 3 . . . . . 2) Jakkolwiek.
- 3) D 4 — B 3 albo C 2 † i mat.

tu nie potrzebuję; każdy je sam z łatwością oceni.

A niech to nikogo nie dziwi, że przemawiam jeszcze w tyle razy obrabianym już przedmiocie; ważność jego ogromna stanie mi za dostateczną wymówkę. Zakładanie bowiem szkółek dla ludu, jest to kwestya nader pilna, najmniejszej nie cierpiąca zwłoki. Tu na nie czekać nam się nie godzi, tu każda chwila stracona niezmiernie staje się drogą. Z każdej straconej chwili, jak z wielkiego grzechu z wiedzą popełnionego, ciężki rachunek Bogu zdać nam przyjdzie, a potomność zlorzeczyć będzie niedbalstwu i egoizmowi naszemu.

Wiemy wprawdzie że w wielu miejscach obywatele żywo się zajmują sprawą oświecania swych włościan, i że częstokroć własne ich rodziny w usiłowaniach tych gorliwy biorą udział. Szczególniej znaczne niewiasty nasze, pełne, jak zawsze, poświęcenia i miłości, wielkie pod tym względem położyły już zasługi. Ale co pomogą starania osób pojedynczych, tam gdzie ogół pozostaje obojętnym? A jednak zarówno uczucie sprawiedliwości, jak miłość bliźniego, nakazują nam najspieszniejsze spełnienie tego świętego obowiązku.

Wszyscy prawie wyprzedzili nas na tej drodze. Najbardziej, a przynajmniej najdłużej, zaniedbana pod względem ukształcenia ludu Galicya, posiada dziś liczne już szkółki wiejskie, a obywatele tamiechni hojne składają ofiary. na wydawnictwo dzieł elementarnych dla ludu służyć mających. Czyż my mamy być ostatni? A przecież trzysta lat temu byliśmy najoświecenijszym w całej Europie narodem. Czyż na to zarobić sobie mamy, żeby powiedziano o nas, iż odrodziliśmy się całkiem od przodków naszych? Tego zapewne każdy z nas wszelkimi siłami uniknąćby pragnął. A więc weźmy się z zapalem do zakładania szkółek ludowych, a ci którzy więcej mają doświadczenia i nauki, niech rad swoich w tym względzie innym udzielą.

W. D.

## KLASZTOR W POCZAJOWIE.

Rysunek i notatkę wyjmujemy z rękopisu J. H. Müntza, skreślonego po francuzku, sposobem dziennika podróży.

Dziennik 1781 r. 25 lipca.

„Widok klasztoru poczajowskiego, o 2 mile od Brodów na południo-wschód, o 4 mile od Wiszniowca na północo-zachód i o 2 mile od Podkamienia na wschód.

„Poczajów, jest to bogaty klasztor bazylianów, zbudowany na szczycie wzgórza, leżącego na wapiennej skale. Kraj ma widok poważny, a jest żałoźny we wszystkiego rodzaju płody. Wapienna warstwa wzgórza zawiera mnóstwo i różnego gatunku muszli morskich w całości zachowanych. Od płaszczyny brodzkiej grunt wcale nierówny, a nad poziom Brodów przynajmniej o 200 sążni wyższy; lecz posiada piękne lasy, obfituje w miód, wosk i t. d. Klasztor ma wizerunek Najświętszej Panny, słynący cudami. Ciągną ku niemu pielgrzymi ze stron dalekich, co stanowi wielki dochód dla zakonników. Kościół nowy, który tu przedstawiamy, niedawno skończony; ale znaczna część sklepienia głównej nawy zawaliła się na kilka dni przed naszym przybyciem. Budynek świątyni kosztowny. Ciosowy kamień, z którego jest wzniesiona, wydobyty został ze skały, na której stoi klasztor. Głęboka studnia, wykuta w skale, dostarcza wody w obfitości.

„Dobrych owoców moc; wisnie doskonałe.

„Między Poczajowem i Brodami komora celna i graniczna polska, ale wcale nieszanowana

przez Austriaków, zajmujących się bezkarnie przemianiem.

„Wojskowi austriacy jeszcze gorszych rzeczy dopuszczają się, pod pozorem śledzenia zbiegów wojskowych.—Okropności!

„Żniwa zaczęte, cena żyta jest na 4 złp. korzec. Ludność mierna w porównaniu ornój ziemi, lecz wieśniak pracowity. Zboża mniej dojrzałe od zbóż w okolicy Brodów.

„Rysowano we środę, d. 25 lipca 1781 r., patrząc na południe, o 6 wieczorem.“

## REBUS.



POLOWANIE NA TURA

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 124. Nauki przyrodzone wiele w wynalazkach przynoszą ludziom ułatwień.